

CATHERINE BELL

Jane Austen

*Miłość, która
stała się literaturą*



PRZEŁOŻYŁA
Magdalena Kaczmarek

MARGINESY

Jane Austen und die Kunst der Worte

COPYRIGHT © Aufbau Verlage GmbH & Co. KG, Berlin 2021

Published with Aufbau Taschenbuch; »Aufbau Taschenbuch«

is a trademark of Aufbau Verlage GmbH & Co. KG

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Magdalena Kaczmarek

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

Prolog

Londyn, 13 listopada 1815

Niebo ponad Hyde Parkiem przesłaniał dym. Nawet szadź na gałęziach i dachach budynków, do których zbliżała się dorożka, wydawała się brudna. W Hampshire horyzont był zazwyczaj mleczny, choć nieraz tak przejrzyste jasny, że w swoim bezkresie przypominał spokojne morze. I tak też czuła się tam Jane: spokojna i gotowa, by pozwolić myślom szybować we wszystkich kierunkach.

Tymczasem w Londynie życie rozgrywało się tuż przed jej oczami. Brakowało tu przestrzeni, wszędzie stały domy, rosły drzewa, jeździły dorożki, roіło się od ludzi. Gdziekolwiek by się znalazła, jej serce przyspieszało. W końcu w dużych miastach, takich jak to, zawsze było coś do zrobienia: można było pójść do teatru, na przyjęcie czy na zakupy.

Dorożka zbliżała się do Piccadilly. Chodniki stopniowo zapełniały się przechodniami. Z podwórzy dobiegało głośne walenie młotów kowalskich, a to wszystko na tle tętentu kopyt i nawoływania piwowarów, pędzących swoje konie wąskimi uliczkami.

Nerwowość Jane, narastająca i opadająca falami przez cały poranek, wezbrała na nowo. Jej policzki pałały, zaś ona nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszystko w niej musuje jak bąbelki szampana. Gdyby tylko pozwoliła na to ciasnota obitego jedwabiem i brokatem wnętrza landauera, powachlowałaby się kapeluszem. Oczywiście, była

zachwycona możliwością jazdy w dorożce regenta – tym bardziej w takiej z przeszkłonymi oknami. W normalnych warunkach po podróży dorożką w zimie Jane wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy: zachłapana mieszkanką śniegu i błota, przemarznięta do szpiku kości, niekiedy ze szronem na rzęsach. Jednak nie tym razem! Choć panujący we wnętrzu zaduch również nie był przyjemny. Jedynym ratunkiem wydawało się przyciśnięcie twarzy do szyby, co jednak mogło pozostawić na szkle tłuste plamy.

Lepiej więc nie próbować.

Podeksytowana wyglądała z dorożki. Gazeciarze wykrzykiwali nowinki z całego świata. Purpura wstążek w witrynach sklepu Smith & Hanson wydawała się jeszcze intensywniejsza, a błyszczące tkaniny sukni u pana Vanderbilta – jeszcze bardziej luksusowe i miękkie. Ileż to razy przyklejała nos do tych okien, nie mając wystarczająco pieniędzy, by w ogóle odważyć się na wejście do środka. Jane od zawsze miała słabość do pięknych materiałów, smakołyków i jedwabnych rękawiczek, dokładnie takich jak te, które właśnie spostrzegła w witrynie. Dzisiaj mogłaby nawet tu wsiąść. Bo i ktoś miałby ją powstrzymać przed zakupem od razu dwóch par rękawiczek czy pięciu tabliczek czekolady u Fortnuma & Masona dla Cass, która była taką samą miłośniczką frykasów jak wszyscy Austenowie?

Nikt. Może poza czasem, który naglił. Nie można było bowiem zakładać, że dorożkarz na nią nie zaczeka. W niektórych sytuacjach rodzą się jednak zupełnie nowe pytania. Chociażby takie: jak miałaby przemierzyć błotnistą londyńską ulicę w białej muslinowej sukience? Na szczęście istnieli zamiatacze ulic. Zaraz po wyjściu z domu brata na ulicę Jane dostrzegła jednego z nich i przywołała go do siebie, by zmiotł sprzed jej nóg nie tylko śnieg, ale przede wszystkim błotnistą breję. Po wnikliwym przyjrzeniu się odzieży z ulgą stwierdziła brak zabrudzeń na obrębkach spódnicy. Również buty lśniły jedwabiscie.

Oczywiście Jane zmieniła je w dorożce na swoje stare pantofle. Miała także futrzaną muflę; jej delikatny fiołkowy zapach budził w niej wspomnienie Elizy, kuzynki Jane i zmarłej żony Henry'ego, która ją jej podarowała. Do tego perły we włosach i odrobinę czerwonej pomadki.

Wyglądała nie ekscentrycznie, lecz adekwatnie do okoliczności – taką miała przynajmniej nadzieję.

Obserwując z czterokonnego pojazdu toczące się na zewnątrz życie, a potem podając przez drzwi szylinga bosemu chłopcu w przykrótkich spodniach, nie mogła przestać się dziwić. Jak to możliwe, że z tak małej i sennej miejscowości jak Steventon trafiła aż do Londynu? I znalazła się w dorożce przyszłego króla Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii?

Ona, córka pastora!

Wszystko to przypominało kiepską powieść – nawet jeśli nie znalazła się w tej dorożce jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i nawet jeśli nie poślubiła księcia. Faktu, że oto siedziała, gdzie siedziała, nerwowo skubiąc kapelusz, nie zawdzięczała nikomu poza samą sobą.

Powoli jechali St James's Street, gdzie nie było już śladu po wrzawie wcześniej przemierzanych ulic. Fasady domów świeciły bielą, odcinając się od ciemniejącego nieba. Na ulicy nie było żywej duszy, a stukot końskich kopyt rozbrzmiewał dziwnie głucho. Już za chwilę jej oczom ukaże się Carlton House ze swoim wspaniałym portykiem przy Pall Mall.

Wiedziała, że jest to okazała budowla. Z gęstej mgły już wyłaniały się kolumny. Widoczni byli też żołnierze w czapkach, nieszczęśnicy, stojący doskonale nieruchomo w równym szeregu. Nagle niebo wydało się jej bezkresne jak nigdy. Ciężkie chmury wisiały nad pałacem niczym przywiązane, jakby nie mogąc oderwać się od jego widoku. Poniżej wrony zataczały koła. Ich krzyki były jedynym, co przerywało upiorną ciszę.

Przed laty opowiadano jej, jakoby w Carlton House znajdowało się pomieszczenie przypominające katedrę – nie tylko pod względem wielkości, ale i kształtu. To osobliwe, aczkolwiek nie zdumiewające. Jerzy IV był osobliwością. Osobliwością i... Ach, jakże go nie cierpiała. Był rozrzutny, niewierny, antypatyczny – jednym słowem, nie był kimś, u kogo audyencja wprawiłaby ją w zachwyt.

Ale jednocześnie był regentem i nawet jeśli wstydziła się tego, to zaproszenie do pałacu diabelnie ją ucieszyło. Trafiło w jej ręce napisane na eleganckim, jedwabistym papierze, a Jane, którą mało kto rozpoznawał jako autorkę *Dumy* i *uprzedzenia* oraz *Rozważnej* i *romantycznej*, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nie z niedowierzaniem.

Nawet jeśli nie nadeszło zupełnie nieoczekiwanie. Lekarz prowadzący w ostatnich trudnych tygodniach jej brata, który zachorował tak ciężko, że zachodziły obawy o jego życie, przyglądał się Jane natarczywie, aż pewnego popołudnia zapytał półgłosem, czy wyraziłaby zgodę na to, by ogłosił w pałacu, że przebywa w Londynie.

Jane roześmiała się głośno, a potem przez dłuższą chwilę czekała, aż doktor przeprosi za swój żart.

Była córką pastora. Ze Steventon w Hampshire. Kogóż w pałacu miałby interesować fakt jej pobytu w Londynie?

– Bardzo proszę – odrzekła w końcu i przez kolejne dni nie myślała właściwie o niczym innym. Nic się jednak nie wydarzyło, a Jane, nawet jeśli nie zapomniała o słowach lekarza, to bardzo starała się nie zaprzętać nimi głowy. Przynajmniej tyle.

I wtedy nadszedł list, który – jak musiała przyznać – najchętniej oprawiłaby w ramkę. A teraz dojeżdżała do pałacu regenta, serce waliło jej jak młotem i czuła wielką ulgę na myśl, że ten nie pojawi się tam osobiście podczas jej wizyty.

Nawet jeśli, oczywiście, wspaniale byłoby móc mimochodem napomknąć w rozmowie o kolorze jego pończoch...

Dorożka zwolniła i w końcu się zatrzymała. W jej kierunku ruszył niski barczysty mężczyzna na krótkich nóżkach.

– To dla mnie zaszczyt! James Stanier Clarke, jeśli pani pozwoli.

Oblicze bibliotekarza promieniało. Na twarz Jane również wypłynął nonszalancki uśmiech. Nałożyła kapelusz i od razu go zdjęła – w dorożce wciąż nie mieścił się jej na głowie.

Podstawiono schodki. Jane wzięła głęboki oddech.

A więc była tu. Ona, Jane Austen, która przysłała na świat bez większego majątku czy lepszych perspektyw. Która próbowała rozlicznych dróg – bo czyż skrzyżowania nie były właśnie po to, by ruszyć każdą ze ścieżek przynajmniej do najbliższego zakrętu? Ona, która ostatecznie zdecydowała się na kierunek, który przed nią wybrały tylko nieliczne kobiety.

Wysiadła z dorożki, przysłuchując się, nawet jeśli jednym uchem, słowotokowi pana Clarke’a. Znów poczuła narastającą nerwowość, ale i dumę. Dorożka, pałac, zapewne także biblioteka były luksusowe. Jednak w tym momencie dotarło do niej, że prawdziwym luksusem była wolność, której wywalczenie kosztowało ją tyle wysiłku.

Były w jej życiu ponure lata. A także takie bez konkretnych barw, bez regresu, ale i bez progresu. Lata, w których nie mogła pozbyć się poczucia, że jest wewnętrznie martwa. Teraz czuła się jednak, jakby otaczało ją najjaśniejsze światło.

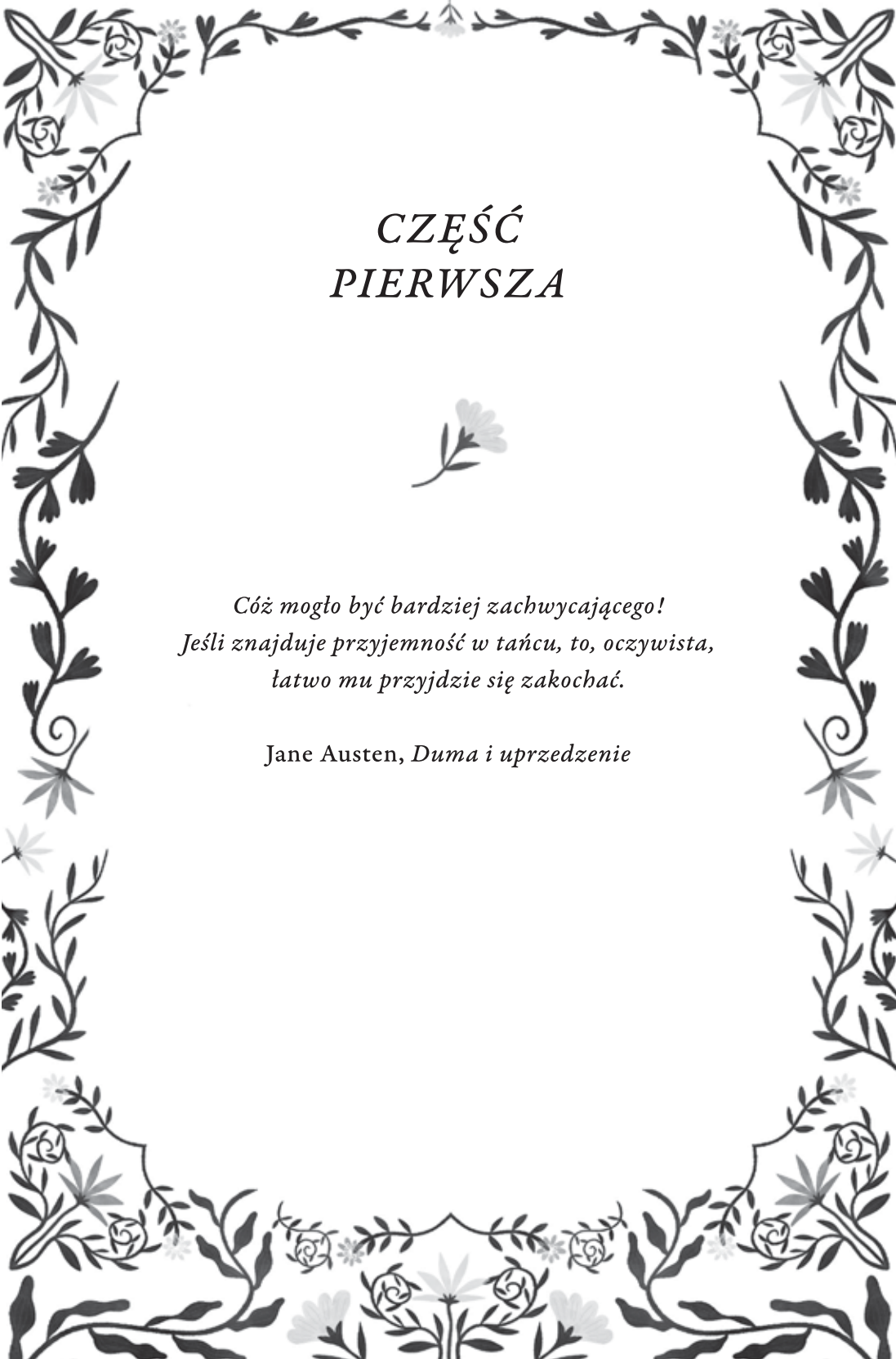
Ignorując starania królewskiego bibliotekarza, który usiłował skłonić ją do wejścia do pałacu, Jane odchyliła głowę. Chmury poruszały się bardzo powoli i ledwo zauważalnie, ale jednak przesunęły się na tyle, by w końcu przepuścić wąty promień słońca, który padł na jej twarz.

Zamknęła oczy i poczuła chłód listopadowego wiatru na policzkach oraz wilgoć przenikającą do jej jedwabnych pantofli. Nie przeszkadzało jej to. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że tak potoczy się jej życie. Zwłaszcza w obliczu faktu, że nie była

chłopcem i kiedyś nawet pies z kulawą nogą nie interesował się tym, co sądzi i nad czym rozmyśla.

To wszystko jednak działa się naprawdę i było tak wspaniałe i zdumiewające, że musiała potrząsnąć głową. A potem otworzyła oczy i spojrzała na zdziwionego bibliotekarza.

– Idziemy, panie Clarke?

A decorative border made of black and grey floral motifs, including leaves, vines, and small flowers, framing the entire page.

CZĘŚĆ PIERWSZA



*Cóż mogło być bardziej zachwycającego!
Jeśli znajduje przyjemność w tańcu, to, oczywista,
łatwo mu przyjdzie się zakochać.*

Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*

Steventon, hrabstwo Hampshire

22 grudnia 1795

Błade poranne światło ledwo przenikało przez szparę pomiędzy zasłonami, padając na gładkie deski podłogi. Każdego innego dnia Jane naciągnęłaby kołdrę pod sam nos, zastanawiając się, czy nie powinna krzyknąć, by przywołać pokojówkę. Gdyby tak zrobiła, w kominku w okamgnieniu zapłonąłby przytulny ogień. A wtedy mogłaby się odważyć na wyściubienie nosa spod kołdry, bez odmrożeń dotrzeć do pulpitu i nawet bez większego dygotania utrzymać w palcach pióro. W zwykłych okolicznościach wada takiego rozwiązania była jednak oczywista: jej krzyki obudziłyby Cass, która następnie usiadłaby na łóżku, rozczochrana i ponura, i wpatrując się gniewnie w Jane, zganiłaby ją tak, jak to potrafi tylko starsza siostra: „Jane, czy to naprawdę konieczne?”.

Dzisiejszy dzień nie był jednak zwykłym dniem i na tym właśnie polegało nieszczęście. Jane mogła się wydzierać do woli, a i tak nie zbudziłaby Cass. Ta bowiem przebywała w oddalonym o całe mile Kintbury. I to nie z byle jaką wizytą, lecz by spędzić święta u przyszłych teściów – co oznaczało, że Cass wychodziła za mąż – i to była naprawdę okropna myśl. W końcu od zawsze dzieliły pokój. Od blisko dwudziestu lat. A teraz wszystko miało się zmienić.

W mroku poranka pokój wydawał się zbyt wielki i nieprzytulny. Jane westchnęła. Jej nastrój pogarszała jeszcze jedna sprawa: Susanna,

pokojówka, i tak by nie przyszła, by zasłać ich łóżka i zasnuować im gorsety. Aby móc dobrze zająć się Austenami w czasie nadchodzących świąt, ta dobra duszyczka cieszyła się wcześniejszym urlopem świątecznym u swojej matki w Basingstoke. Bezdyskusyjnie zasłużyła sobie na kilka dni wytchnienia z dala od plebanii, jednak w tym momencie Jane tęskniła za nią prawie tak samo mocno jak za siostrą.

Co oczywiście, zdroworozsądkowo patrząc, było kompletnym nonsensem. Susanna była miłą dziewczyną, jednak nie do porównania z Cass. Jane odrzuciła kołdrę. Na Boga, jak zimno! Trzęsąc się jak galareta i pomstując pod nosem, znów opatuliła się pierzyną. To żadną miarą nie było przyjemnym sposobem na rozpoczęcie nowego dnia.

Zaraz zbierze wszystkie siły, wznieci żądę czynów i własnymi rękami rozpali w kominku. A potem przez cały poranek ani razu nie pomyśli ani o Susannie, ani o Cass, lecz będzie się cieszyła myślą o świętach, odwiedzi Aletheę i wysłucha wiejskich ploteczek. Nikt nie był lepiej poinformowany od jej przyjaciółki – i to pomimo tego, że jej dom był znacznie bardziej oddalony od Steventon niż plebania, na której mieszkała Jane. Sama Jane wprawdzie ochoczo plotkowała, jednak z trudem zapamiętywała mnogość szczegółów na temat innych osób. Fakty często mieszały się jej z wytworami własnej fantazji. Choć było to praktyczne z punktu widzenia pisarki, to nie udawało się jej w ten sposób sprostać wymaganiom Alethei, która chciała, by jej opowieści zawierały choć śladowe ilości prawdy.

Zacisnęła powieki, policzyła szeptem do trzech, po czym odrzuciła kołdrę i zerwała się z łóżka. By nie dotykać obiema stopami podłogi, doskoczyła na jednej nodze do kominka. Po drodze chwyciła wiszący na krześle wełniany szal, który trzykrotnie owinęła sobie wokół szyi i naciągnęła na ramiona, po czym chwyciła puszkę z przyborami do krzesania ognia, która zresztą za chwilę wypadła jej ze zdrętwiałych z zimna rąk. Chyba rozsądniej byłoby się najpierw ubrać. Trzy pary

skarpetek, długie pończochy, halka, suknia wierzchnia i na koniec wełniana suknia dzienna. Ponownie wzięła do ręki puszkę i próbując opanować dygotanie, w końcu zdołała rozpaścić ogień – lichey, bo lichey, ale zawsze coś.

Jane chuchnęła w dłonie. Rozsunęła zasłony i wyjrzała do ogrodu, który migotał pod srebrzystą powłoką szronu. Po lewej stronie znajdował się murowany warzywnik jej matki, teraz cichy i pozbawiony życia. Wiosną i latem pyszniły się w nim jednak żółtopomarańczowe kwiaty nasturcji, strzeliste fasole, rosłe dynie i ziemniaki, a to wszystko w otoczeniu niewysokich jabłonek i grusz. Dalej ciągnęły się łagodne pagórki, od prawej strony przysłonięte dębami i brzoźami. Najstarszy brat Jane zasadził w pobliżu domu lipę, która wiosną wypuszczała delikatnie zielone liście o słodkim zapachu, który o poranku wnikał do pokoju przez otwarte okno. Teraz jednak jej gałęzie wyglądały jałowo i smutno, więc Jane odwróciła się od tego widoku, jeszcze mocniej opatulila się szalem, po czym zapaliła dwie świeczki i zasiadła do pulpitu.

Wyciągnęła kałamarz, pióro i stos kartek, do których każdego dnia dołączały kolejne zapisane stronicie, i spróbowała zebrać się w sobie. Pewnego dnia minionego lata oczyma wyobraźni Jane zobaczyła Elinor i Marianne Dashwood, dwie jeszcze nieco rozmyte postacie, które od tamtej pory zyskiwały coraz wyraźniejsze kontury. Sprawiająca wrażenie nad wyraz wyniosłej w swojej surowości i chłodzie intelektualnym Elinor oraz zbyt dzika i temperamentna jak na damę Marianne. Jane wprost uwielbiała obie wymyślone siostry, a gdy zaczynała o nich pisać, świat za podzielonym szprosami oknem zniknął, bledła też plebania wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami: rodzicami i Cass, służbą, a także gośćmi, czyli starszym bratem Jane – Jamesem, i małą Anną.

Ustaliła już w przybliżeniu, jak ma się toczyć akcja powieści, i to na razie musiało wystarczyć. Jane lubiła pisać spontanicznie, jednak

nie w sposób nieprzemyślany. Potrzebowała poręczy, której mogła się trzymać, pewnej linii wiodącej ją przez całą historię. Bez niej zbyt często zbaczalaby ze ścieżki. A to nie byłoby nic dobrego, tak się nie budowało napięcia. Jednocześnie Jane wiedziała, że kreatywność również potrzebuje swobody. Kilka razy próbowała zacząć od opracowania dokładnego przebiegu zdarzeń. Spisała wszystkie sceny, po czym opatrzyła je starannymi strzałkami i licznymi notatkami. Jednak po kilku podejściach, z których każde okazało się równie nieudane, wrzuciła projekt do kominka. Potrzebowała złotego środka: musiała wiedzieć, dokąd zmierza, jednak drobne odstępstwa od zasadniczej ścieżki były mile widziane, a pewne modyfikacje dozwolone.

Jane zanurzyła pióro w kałamarzu i zawahała się. Problem, jaki wynikał z jej metod pracy, polegał na tym, że ojciec wydawał krocie na papier, który wprowadzie z radością oddawał do dyspozycji córce, jednak uprawianie tego typu kosztownego hobby przyprawiało ją o wyrzuty sumienia. Nie pociągało to co prawda za sobą takich nakładów finansowych jak utrzymanie konia, co jednak nie zmieniało faktu, że istniało wiele zajęć dla kobiet, które koniec końców wręcz przynosiły zysk. Robienie na drutach, wyszywanie czy szydełkowanie – Jane opłacała wszystkie te umiejętności i nawet wydziergała niejeden szal czy obrus. Nic jednak nie dawało jej tyle radości co pisanie.

Niestety zdarzały się dni takie jak dzisiejszy i dni takie jak wczorajszy, kiedy to, co przelała na papier, mimo całej swobody działania nie wydawało się świeże, lecz mdłe, ciężkie i bez polotu. Jej myśli nie tańczyły, a słowa nie płynęły wartko – każde z nich przychodziło z wysiłkiem. I te błędy! Nie mogła się skupić, to musiało być powodem kolejnych porażek, choć przecież miała luksus pisania w absolutnej ciszy. Bez ziewającej, przewracającej się z boku na bok Cass; bez pokaślających czy odchrząkujących rodziców, bez ich tupania na schodach – na to była jeszcze zbyt wczesna pora. Także chłopcy mieszkający na

plebanii z racji tego, że ojciec Jane – nie tylko duchowny, ale i dyrektor szkoły – uczył ich i zapewniał im dach nad głową, spędzali wolne dni w swoich domach.

Prześlizgnęła się wzrokiem po charakterystyce siostr Dashwood i zatrzymała na imieniu Elinor, zapisanym bardziej jako wskazówka dla niej samej niż dla czytelników. Wciąż szukała sposobu na odpowiednio eleganckie umieszczenie w tekście – mającym być powieścią epistolarną – informacji, że najstarsza, której wstawiennictwo wywarło taki skutek, obdarzona była zdolnością spokojnego rozumowania i chłodnego osądu, które to cechy, choć miała zaledwie dziewiętnaście lat, pozwalały jej być doradczynią matki i powściągać – ku pożytkowi wszystkich czterech pań – matczyną popędliwość, wiodącą na ogół do nierozważnych postępków. Była to panna obdarzona najzacniejszym sercem – usposobienie miała czułe, a uczucia silne, umiała jednak nad nimi panować. Tej umiejętności nie nabyła jeszcze jej matka, jedna z siostr zaś postanowiła nie nabywać nigdy.

Zalety Marianne dorównywały pod wieloma względami zaletom starszej siostry. Była wrażliwa i inteligentna, lecz we wszystkim nadmiernie popędliwa – jej smutki i radości nie znały umiarkowania. Była osobą wielkoduszną, miłą, interesującą, brakowało jej jedynie roztropności.

Gdyby tylko Jane była nieco bardziej roztropna, zrównoważona! Wówczas nie przeszkadzałoby jej siedzenie przy biurku i oczekiwanie na wenę twórczą. Niestety, dziś ogarniało ją zniecierpliwienie. Podniosła wzrok i spojrzała na bieloną wapnem ścianę w ledwie widocznym odcieniu błękitu. Czuła wewnętrzny opór. Z doświadczenia wiedziała, że lepiej byłoby dać sobie spokój – pisanie na siłę przypominało próbę wybuchnięcia śmiechem w gniewie. Efekt będzie nieprzekonujący, a zapisane kartki prędzej czy później i tak spłoną w kominku.

Nieco zmartwiona, ale jednocześnie pocieszona myślą o śniadaniu z Aletheą, zamknęła klapę pulpitu. Na chwilę zastygła z dłońmi na gładkim mahoniu mebla, po czym wstała, przekonując samą siebie, że

kreatywności nie da się wymusić. Zrzuciła zwykłą suknię, by przebrać się w coś bardziej wyjściowego. Idąc do Manydown Hall, powinna zadbać przynajmniej o minimum elegancji; jedynie toporne drewniane chodaki będą sprawiać wieśniacze wrażenie – ale cóż mogła poradzić na to, że jej ojciec nie posiadał powozu? W gruncie rzeczy jednak ta okoliczność nie przyprawiała Jane o ból głowy. Uwielbiała spacerować i nie zważała przy tym na kaprysy pogody. Przy wietrze i upale, deszczu i gradzie Jane maszerowała cztery mile do przyjaciółki do Basingstoke i z powrotem; raz nawet odważyła się na taką eskapadę w nocy, choć niezupełnie bez obaw.

Jej wzrok znowu prześlizgnął się po łóżku Cassandry i zatrzymał się na ustawionych na gzymsie kominka akwarelach, które wyszły spod pędzla Cass, a przedstawiały Jane. Jane w bufiastej sukience, Jane odpoczywającą na łące, Jane na brzegu jeziora. Ponieważ nadawanie żywego wyrazu twarzom sprawiało Cass trudność, zawsze malowała siostrę od tyłu. Gdyby na podstawie tych malunków ktoś obcy miałby wyciągnąć wnioski na temat wyglądu Jane, z pewnością założyłby, że musi być brzydka jak noc.

Co jednak – jak sądziła – nie było prawdą. Lubiła swoją świeżą cerę, błyszczące ciemnobrązowe oczy i ciemne włosy, które – gdy zadała sobie nieco trudu – okalały jej twarz łagodnymi falami. A propos świeżej cery: pora na krótką toaletę. Woda w misce okazała się lodowata, gdy Jane zanurzyła w niej twarz. Z piskiem podniosła głowę i pospiesznie wytarła skórę do sucha. Zaczepnęła nieco różanego kremu, który sporządziła dla niej Martha – przyjaciółka tak samo bliska jak Alethea – i wklepała go sobie w skórę. Ruszyła żwawo schodami w dół i niestety dopiero na najniższym stopniu przyszło jej do głowy, że jeśli chce niepostrzeżenie wymknąć się z domu, musi zachowywać się cicho. Tak bezszelestnie, jak tylko potrafiła, prześlizgnęła się po drewnianej podłodze sieni, w której panowała ciemność, że oko wykol. Na chybił

trafił odszukała płaszcz i kapelusz, klując się przy okazji w palec gałązką ostrokrzewu, którą Cass zawiesiła w sieni przed wyjazdem – nikt inny z rodziny nie miał głowy do takich dekoracyjnych drobiazgów. Syknęła „Au!”, po omacku dotarła do drzwi i właśnie je otwierała, gdy do jej uszu dobiegło człapanie matki.

– Jane? To ty?

– Tak, mamó, to ja. I już wychodzę.

– Myślałam, że mi pomożesz!

– Bo pomogę! Najpóźniej za trzy godziny będę z powrotem.

– Jak to za trzy godziny? Jane!

Ale Jane już była za furtką i w swoich masywnych drewniakach zmierzała do drogi biegnącej wzdłuż skraju lasu. Udało się! Przecież matka nie będzie jej gonić w szlafroku.

*

– Na Boga, Jane! Czyżby cię porwał orkan?

Alethea, która wyglądała jak ktoś, kto spędził kilka ostatnich godzin przed lustrem, roześmiała się na całe gardło na widok wchodzącej do salonu przyjaciółki.

– Naprawdę? – Jane dotknęła fryzury, faktycznie pozostającej w nienadzie, i wzruszyła ramionami. – Rwałam sobie włosy z głowy.

Opadła na obite różowym pluszem krzesło i wbiła zachwycony wzrok w obfitość dań, jakie nakazała przygotować dla niej przyjaciółka. Po chwili podniosła oczy i spojrzała na Aletheę z udawaną surowością.

– A więc zamierzasz mnie zobaczyć toczącą się jak piłka po parkiecie podczas balu u Chute’ów!

– Ależ skąd! – Alethea zarumieniła się. Wyglądała dokładnie tak, jak wymarzyła sobie swoje córki matka Jane, zanim te przyszły na świat: niewysoka, filigranowa i z długimi, jedwabistnie lśnącymi blond